

Bo Lund, kiedy był mały, kilka razy porządnie się przestraszył. W wieku dwunastu lat otworzył bramę garażu i znalazł córkę sąsiadów dyndającą na sznurze. Pani Lund poprosiła go, żeby poszedł do nich pożyczyć ziemniaków. Żona sąsiada stała w kuchni i robiła klopsiki z curry. Uśmiechnęła się i powiedziała, żeby wziął tyle, ile potrzebuje, leżą w skrzynce w garażu. Bo wziął cztery ziemniaki, nie odwracając wzroku od dyndającego ciała. Pobiegł do domu, do pani Lund i wrzucił ziemniaki do zlewu.

Rok później dom, do którego przyszedł w odwiedziny, został staranowany przez volkswagena.

Stał się bardzo wrażliwy. Obiecano mu, że zostanie w domu tak długo, jak będzie chciał. „Takie rzeczy powinno się dzieciom obiecywać”, powiedziała pani Lund. „Dom” oznaczał zawsze to samo miejsce. Bo urodził się w wieczór wigilijny w dwuosobowym łóżku przy Kragesøvej. W tym czasie w piekarniku wysychała pieczona kaczka. Pan Lund wyszedł na zewnątrz i w nieukończoność odgarniał śnieg. Kozaki położnej stały pod daszkiem. Kwadrans po piątej z domu dobiegł płacz dziecka. Pan Lund wbiegł do środka i zobaczył panią Lund z chłopcem w ramionach. Kilka godzin później podzielili pieczoną kaczkę, teraz już wielkości gołębia, i mimo że nie było do niej sosu ani karmelowych ziemniaków, nigdy dotąd nic nie smakowało tak wyśmienicie. Położna próbowała przekonać panią Lund, żeby na wszelki wypadek poszła do szpitala. To nie wchodziło w rachubę. Pani Lund chciała zostać tam, gdzie była. Bo został tam, gdzie był, również trzydzieści lat później.